Noc straszącej dyni



Stefan Król

Pierwszy – drugi listopada. Sporo nazw: Wszystkich Świętych, Dzień Zaduszny, Zaduszki, Święto Zmarłych. Cmentarze, miejsce wiecznego spoczynku zmarłych, zapełniają się żywymi. Na alejkach cmentarnych usłanych opadłymi liśćmi pełno ludzi.

Przejechali nieraz setki kilometrów by spotkać się z rodziną przy grobach swoich bliskich. Prawdziwa wędrówka ludów. Wieczorem nad cmentarzami łuny. To tysiące smutnych, chybotliwych światełek rozjaśnia niebo i tworzy uroczysty nastrój. Ludzie powracają pamięcią do zmarłych. Ożywają oni w płomykach listopadowego wieczoru i toczą wielki milczący dialog z naszymi myślami. Są zawsze od nas mądrzejsi o swoją śmierć, choć przypominają nam się w pulsujących życiem scenach i obrazach, może tylko w zawikłanej chronologii i niejasnym układzie jak na fotografiach z rozrzuconego albumu. Zdają się krążyć wśród spacerujących, zamyślonych czy medytujących postaci, mają prośby do nas i rady dla nas: wystarczy przeczytać kilka inskrypcji nagrobnych by być tego pewnym. Te dwa dni i wieczory zawsze były i są świętem przenikania czy też więzi dwu światów: tego żywego i tego zmarłych. W takiej więzi „wieczność z traw się wykojarza” (Leśmian). To Polska.

Noc z trzydziestego pierwszego października na pierwszego listopada: Halloween. Wielkie dynie z otworami oświetlone od wewnątrz; szkielety, posępne zakapturzone postacie, maszkary z najbardziej dreszczowych bajek; maskarady diabłów, duchów, czarownic i żywych trupów zaludnia wielkie miasta i małe miasteczka; gromadki poprzebieranych dzieci – od najmłodszych, pod opieką rodziców do starszych „straszących” samodzielnie – chodzących od domu do domu z obsesyjnie powtarzanym pytaniem: *trick or treat?* – psikus albo poczęstunek? To Ameryka

Północna.

Czy te dwa święta, dwa tak różne zwyczaje, dwa nieprzystające do siebie nastroje mają coś ze sobą wspólnego? Mają. Są to dwie odpowiedzi kulturowe na tę samą potrzebę duchową: kontaktu ze światem zmarłych.

Halloween jest być może najstarszym ze świąt świata zachodniego, jego korzenie sięgają najdawniejszych europejskich tradycji. Historia tego święta zaczyna się wraz z Celtami, starożytnym ludem europejskim, który utworzył pierwszą wielką cywilizację na północ od basenu Morza Śródziemnego. Wychodząc z obszarów naddunajskich i przesuwając się na zachód pod naporem Germanów Celtowie, chronili się na wyspach brytyjskich; w IV w. przed Chrystusem obie wyspy brytyjskie były już celtyckie, a Irlandia miała zostać na długie wieki matecznikiem Celtów.

Celtowie żyli w głębokiej więzi z naturą, kierując się jej rytmem i porami roku. Rok dzielili na cztery części, a każda z nich rozpoczynała się odpowiednim świętem. I tak: 1 listopada (*Samhain*) był początkiem zimy i jednocześnie początkiem nowego roku; 1 luty (*Imbolc*) rozpoczynał kolejną porę roku – uścisk pory chłodnej zaczynał słabnąć wraz wydłużaniem się dnia i narodzinami jagniąt będących znakiem życia i nadziei; 1 maja (*Beltane*) był świętem ostatecznego powrotu pory pięknej i

słońca czyli źródła życia; i 1 sierpnia (*Lugnasa*)– apogeum lata, czas zbiorów, lecz również czas, w którym po czerwcowym przesileniu dni zaczynały się skracać, a jesień coraz wyraźniej zaznaczała swoją obecność.

Wśród tych czterech świąt *Samhain* zajmował miejsce szczególne. Dla Celtów czas nie miał charakteru linearnego, lecz był cykliczny i określone wydarzenia miały się powtarzać z pewną regularnością. Czas był po prostu maszyną do produkowania powrotów, łączenia narodzin i śmierci. Ponieważ *Samhain* był początkiem nowego roku i końcem starego, był więc czasem, kiedy spotykali się żywi i umarli, zatem niejako naturalnym świętem zmarłych. Starożytni Celtowie świętowali podczas *Samhain* świętą więź życia i śmierci. Nie miało to nic wspólnego ze strachem przed zmarłymi, czy tez złymi duchami. Było to natomiast święto wspólnoty i jedności pomiędzy żywymi i zmarłymi, których się nie lękano i którym okazywano szacunek. Uważano, że tego dnia zmarli mogą powrócić na ziemię pomiędzy żywych by świętować razem ze swoją rodziną. Sprowadzały ich na ziemię nie ciemne siły koszmarów (patrz współczesny Halloween) lecz pamięć i miłość żywych.

W średniowieczu w tym niezwykłym tyglu ludów, kultur i tradycji nastąpiła chrystianizacja zwyczajów i świąt pogańskich. Zwykle do pogańskich dat dodawano chrześcijańskie celebracje. Niektóre święta Kościół pierwszych wieków wprowadził tylko po

to by „ochrzcić” istniejące wcześniej święta przedchrześcijańskie. Chrześcijaństwo stanowiło wyjątkową siłę łączącą, zachowującą, wybierającą i przekształcającą to wszystko, to co pochodziło z czasów poprzedzających.

Święto Wszystkich Świętych powstało ze zderzenia celtyckiego *Samhain* i rzymskiego kultu męczenników. Jeśli kult pojedynczych męczenników sięga pierwszych wieków, to począwszy od IV w. w kościołach wschodnich zaczęto czcić wszystkich świętych – znanych i nieznanych – w jednym i tym samym dniu. Kościół syryjski czynił to podczas okresu paschalnego, bizantyjski – w niedzielę po zesłaniu Ducha Świętego. Na tych obszarach Europy, gdzie tradycja celtycka miała silniejszy wpływ, tradycja *Sumhain* była dość żywa i dla tego zdecydowano, aby połączyć z tym starożytnym świętem oddawanie czci świętym. W VIII w. episkopat frankoński święto Wszystkich Świętych ustanowił w tym samym czasie kiedy obchodzono *Sumhain*. W połowie IX w. święto zostało oficjalnie podniesione do godności święta ogólnokościelnego i wyznaczone na dzień 1 listopada przez papieża Grzegorza IV. Forma kultu wszystkich świętych zależała (i zależy) od tradycji lokalnych.

Jak to się więc stało, że nastrojowe znicze na grobach zostały zastąpione przez ponure, podświetlone dynie przy wejściu do domów? Powodów tego należy szukać w historii kolonii angielskich, a w szczególności pierwszej kolonii jaką była

właśnie Irlandia. Inwazja Irlandii za czasów panowania okrutnej królowej Elżbiety I, a następnie reformacja protestancka, liczne powstania irlandzkie krwawo tłumione przez okupantów (przypomina się dziewiętnastowieczna historia Polski), przerażające ludobójstwo dokonane na narodzie irlandzkim w XIX w. przez Anglików sprawiły, że święto Wszystkich Świętych wyemigrowało z Irlandii za Ocean i tam uległo amerykanizacji.



Zacznijmy od języka. Sama nazwa Halloween jest niczym innym jak amerykańskim zniekształceniem określenia pochodzącego z mówionego języka angielskiego z Irlandii: *All Hollows' Eve* – wigilia Wszystkich Świętych. Halloween bierze więc swój początek w ortodoksyjnym świecie katolickim by skończyć jako spaczona parodia tego, co święte.

Gdy Irlandczycy przybyli do Nowego Świata (w połowie XIX w. wyemigrowało 1.5 miliona Irlandczyków, milion zmarło z głodu; na początku wieku XIX Zieloną Wyspę zamieszkiwało kilka milionów ludzi) spotkali się z wrogością miejscowego społeczeństwa, które szczyciło się tym, że jest *wasp* tzn. *white, anglo-saxon and protestant*. Irlandczycy mieli więc tylko jedną „pozytywną" cechę: *white* i „straszną" wadę; byli żarliwymi katolikami. Święto *All Holows' Eve* zostało więc przywiezione do Ameryki przez irlandzkich emigrantów wraz z całym dziedzictwem ich wiary – głębokim nabożeństwem do świętych – i kultury ich ziemi. Oczywiście rząd Stanów Zjednoczonych nigdy nie uznał święta tak bardzo katolickiego, a *white, anglo-saxon and protestants* przyglądali się ze zdumieniem rytom kultu świętych i zmarłych celebrowanych przez tych, którzy przybyli, uciekając przez straszną klęską, która dotknęła ich kraj. W zderzeniu kultur, jak zwykle w takich wypadkach bywa, święto zostało zachowane, ale zmieniło swoją treść. Katolicka interpretacja dnia Wszystkich Świętych została odrzucona, zastąpiona ponurymi wyobrażeniami purytańskich zaświatów

pełnych postaci zmarłych powstających z grobów czy dusz dręczących tych, którzy za życia w jakiś sposób im zaszkodzili. Ten wymiar zaświatów kultura Nowego Świata stara się egzorcyzmować poprzez maski i żarty. Piękne irlandzkie słowo *hollow* oznaczające świętość musiało niejako z konieczności wyjść z użycia. Z tego, co irlandzkie pozostała w *Halloweenie* jedynie legenda o Jacku O'Lanternie tradycyjnie związana z tym świętem. Opowiada się mianowicie, że Jack zaprosił szatana, aby razem z nim pić, ofiarowując mu duszę za jednego szylinga. Wziąwszy monetę położył ją obok krzyża, co uniemożliwiło diabłu zabranie jego duszy. Lecz kiedy Jack umarł otrzymał zakaz wstępu nie tylko do raju, ale i do piekła. Diabeł uderzył go płonącą głownią w twarz i skazał na wieczne błąkanie się po ziemi z twarzą w ogniu. Pusta podświetlona dynia ma nam przypominać biednego Jacka O'Lanterna. (Nawiasem mówiąc nasz Twardowski radził sobie z diabłem znacznie lepiej). Ta groteskowa lampa-dynia, której Irlandczycy nigdy nie widzieli na swojej wyspie stała się więc swego rodzaju logo dla nowej wersji świąt *Samhain* i Wszystkich Świętych. Przywołując znane w ekonomii prawo Kopernika-Greshama możemy powiedzieć: moneta gorsza wyparła z rynku monetę lepszą.

Czy musimy się na taką podmianę monet godzić? Niestety nasza zgoda lub niezgoda niewiele tu znaczy. Jednostkowe wiosło nie zawróci biegu rzeki: amerykanizacja kultur narodowych jest duchem czasu. *Halloween* podbija już Europę Zachodnią, stał się

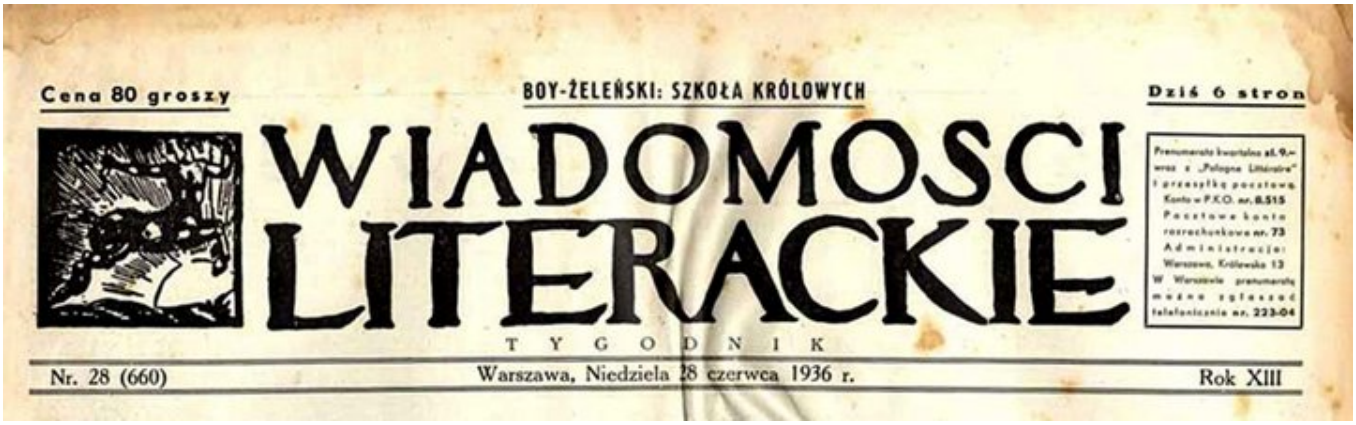
już nawet problemem duszpasterskim we Włoszech. Jedynie co możemy zrobić to starać się monetę o mniejszej ilości kruszcu choć trochę uszlachetnić. Nie zabierajmy dzieciom uciechy grożenia psikusem i otrzymywania w zamian słodkiego poczęstunku, zaprośmy je natomiast na drugi dzień po *Halloweenie* na cmentarz by na grobach zapaliły znicze i pospacerujmy z nimi po cmentarzu.

_____

Stefan Król (1937-2015) – kanadyjski fizyk, piszący felietony.

http://www.cultureave.com/stefan-krol-glos-w-dyskusji/

Fenomen „Wiadomości”



Florian Śmieja

O znakomitym tygodniku Włodzimierz Odojewski powiedział:

> To ogromnie smutne, że po przełomie w Polsce w 1989 roku nie udało się nikomu stworzyć podobnego pisma – szerokiego informatora o sprawach sztuki, literatury, w ogóle kultury w kraju i na świecie, ukazującego z numeru na numer literacki przekrój przez wszystkie piszące pokolenia, jednocześnie prezentującego różne poglądy. Stać było na to rozproszoną emigrację, nie stać prawie czterdziestomilionowego kraju. Ale może żyjemy na progu już zupełnie innej epoki? Szybkiego zanikania zainteresowań humanistycznych w ogóle?

A wszystko zaczęło się ponoć tak: Antoni Borman wręczył warszawskim pikolakom cały nakład pierwszego numeru „Wiadomości Literackich”, kazał im rozbiec się po Warszawie i

sprzedać pismo, zatrzymać sobie połowę pieniędzy, a połowę przynieść wydawcy. Chłopcy w mig rozkolportowali periodyk po stolicy. Ani jeden z nich nie wrócił z pieniędzmi. Jeżeli nawet ta historia nie jest prawdziwa, to doskonale ilustruje dynamikę twórców pisma, które miało istnieć 57 lat i które z 3 tysięcy w roku założenia 1924 osiągnęło 15 tysięcy, kiedy wybuchła wojna.

Pismo założył i redagował w Warszawie, a później w Paryżu i Londynie, nieomal do swojej śmierci w 1970 roku Mieczysław Grydzewski, redaktor magnificus. Zdaniem Antoniego Słonimskiego cechowały go upór, zapał, erudycja, tolerancja i despotyzm. Posiadał on jednak przede wszystkim niezwykły talent edytorski oraz niespożytą pracowitość. Był przez cały czas ukazywania się „Wiadomości" w trzech ich postaciach, ich jednoosobową redakcją, sam czytał rękopisy, sam robił korektę, sam korespondował ze współpracownikami i doglądał druku.

W artykule wstępnym napisał:

> Pismo nasze nie reprezentuje żadnej szkoły estetycznej. Nie walczy o tę czy inną doktrynę. Nie broni i nie chce żadnych dogmatów krępujących swobodę twórczości. Dlatego proklamuje hasło poszanowania i czci dla każdego sposobu i dla każdego objawu uczciwej pracy w imię sztuki. Ale – w myśl stawiania sobie celów ochrony wartości kulturalnych

> narodu – przyrzeka nieustępliwość i bezwzględność w przełamywaniu wszelkiego rodzaju wstecznictwa, kłamstwa, obłudy, fałszerstwa – społecznego zarówno jak artystycznego.

Od początku więc pismo zamierzało być obiektywne, apolityczne i popierać niekrępowaną twórczość. Stawiało na eklektyczność i atrakcyjność. Zadanie popularyzacyjno-informacyjne podobało się wielu czytelnikom podobnie jak walka z wstecznictwem i programowy wysoki poziom stylistyczny i językowy. W konsekwencji tak pojmowanego programu odegrało ważną rolę popularyzatorską i dziś stanowi bogatą kronikę życia literackiego Polski międzywojennej.

W pierwszym okresie „Wiadomości" były gazetą literacką dla wszystkich redagowaną przez Grydzewskiego z poparciem całej grupy Skamandra (Lechonia, Słonimskiego, Tuwima, Wierzyńskiego...). Pismo pilnie śledziło rozwój prężniejszych literatur europejskich i dobrze o nich informowało. Miało do tradycji literatury narodowej stosunek pozytywny, zwalczało ekscentryczne nowatorstwo, radykalną prasę prawicy, popierało poezję Skamandrytów i związanych z tą grupą poetów (Broniewskiego, Jastruna, Lieberta...).

Z czasem „Wiadomości Literackie" stały się pismem

problemowym. Na miejsce części informacji, korespondencji i wywiadów przynosiły eseje i felietony. Zgromadziły wśród współpracowników grono wybitnych prozaików (Nałkowska, Dąbrowska, Kuncewiczowa, Gojawiczyńska, Iwaszkiewicz, Choromański) oraz krytyków (Zawodziński, Napierski, Breiter). Pisali wybitni fachowcy i profesorowie. Do ulubionych pozycji należały „Kroniki Tygodniowe" Słonimskiego oraz reportaże Pruszyńskiego i Janty-Połczyńskiego. Godna pochwały była troska o inne dziedziny sztuk i kultury, o teatr, film i muzykę.

Na początku pismo popierało władze, ale potem przeszło do opozycji. Stało się też orędownikiem reformy obyczajów i nie bało się poruszać spraw uchodzących za drażliwe. Będąc zasadniczo pismem poświęconym kulturze, nie uchylało się od zadań społecznych, publikując m.in. reportaż Ireny Krzywickiej z procesu zwolnionego z pracy buchaltera z Żyrardowa, który zastrzelił znienawidzonego przez robotników dyrektora fabryki, Francuza. Jej reportaż alarmował:

> Trzy czwarte Żyrardowa bez pracy. Rozpacz! Ci, co pracują – sterroryzowani, przerażeni, traktowani jak psy, zależni od kaprysu majstra czy szefa, zagrożeni w każdej chwili redukcją. Ludzie po pięćdziesięciu latach pracy wyrzucani na bruk bez odszkodowania, bez emerytury. Milczący, niedostępny dyrektor idzie przez fabrykę, pokazuje palcem,

> bez słowa, robotnika z siwymi włosach na skroniach, dziewczyną o krzywych nogach, urzędnika, którego twarz mu się nie podoba, już ich nie ma, już znikali, już są skazani na śmierć głodową.

„Wiadomości Literackie” musiały używać techniki przyciągania czytelników, wydawały numery specjalne, dodatki humorystyczne, urządzały plebiscyty i ankiety, ustalały hierarchie pisarzy, faworyzując swoich współpracowników. Przez lewice atakowane były za współpracę z kołami rządowymi i ugodowość, prawica zarzucała im robotę rewolucyjną, gdyż pismo propagowało pacyfizm, zasady liberalne, patriotyzm bez szowinizmu, etykę świecką i poszanowanie praw jednostki. Nie kończyło się na atakach prasowych i naciskach, głównie na Boya, Słonimskiego i Tuwima, zdarzały się napaści bojówek na pisarzy, wybijano szyby w lokalu redakcji. Mimo pewnego zwrotu w kierunku pisma, ponoć władze nosiły się z myślą by je zlikwidować.

Ataki pisarzy i krytyków (Millera, Czuchnowskiego, Brauna, a zwłaszcza Irzykowskiego) obnażyły profil „Wiadomości Literackich” jako poszukiwanie i zalecania „życia ułatwionego w formie poezji ułatwionej”. Zaś zamiast pełnokrwistej i rzetelnej publicystyki wedle antagonistów, pismo przynosiło szkice biograficzno-obyczajowe, ciekawostki z prywatnego życia i

plotki. Pisarze skupiający się przy „Wiadomościach Literackich” byli dla innych kliką związaną interesem i tak zapatrzoną w siebie, że ślepą na wielkie talenty działające poza jej podwórkiem. Dlatego m. innymi nie zauważyli ani poezji Czuchnowskiego, ani Leśmiana czy Gałczyńskiego.



Mieczysław Grydzewski z jamnikiem Fugą, 1939 r., fot. Archiwum Emigracji.

Po upadku Polski, Grydzewski znalazł się we Francji i w Paryżu

od marca do czerwca 1940 roku ukazywały się „Wiadomości Polskie” – kontynuacja przedwojennych. Z kolei zostały przeniesione do Londynu i wobec niechęci czy wręcz wrogości rządzącego obozu firmowane były przez Zygmunta Nowakowskiego. Powodem była nie tylko domniemana sanacyjność pisma, ale także jego częste protesty przeciwko cenzurze oświatowo-kulturalnej. W miarę narastania konfliktu, zaostrzonego publikowanymi w „Wiadomościach Polskich” artykułami przeciwnymi układowi ze Stalinem i potępiającymi linie Curzona, władze polskie nie reagowały, gdy Anglicy tłumacząc się brakiem papieru, zlikwidowali niewygodne pisma w 1944 roku. (Pismo często wychodziło z białymi plamami po ingerencji cenzury).

Przez dwa lata pismo nie ukazywało się, by powstać ponownie 7 kwietnia 1946 roku, tym razem jako po prostu „Wiadomości”. Wychodziło regularnie jako tygodnik, na pięknym papierze, suto ozdobione fotografiami i rycinami. Z ciasnego lokalu naprzeciwko *British Museum*, szły numery do rozsianych po całym świecie czytelników. Ja też do lokalu zaglądałem, by pogwarzyć z Bormanem czy Grydzewskim, który najchętniej przenosił się do czytelni *British Museum*, by tam bez przeszkód szperać i robić korektę. W przeddzień wyjazdu do nieznanego mi wtedy nawet z nazwy kanadyjskiego miasta London, poszedłem do administratora spytać, czy i tam mają prenumeratorów pisma, którzy zagwarantują, że nie będę zupełnie odcięty od kontaktów

z kulturą polską. Mieli.

Kiedy Grydzewskiego powaliła choroba, zlecił redakcję człowiekowi o gołębim sercu i wielkim takcie Michałowi Chmielowcowi. Niech go reprezentuje w niniejszym szkicu jego kulturalna reakcja na nieprzejednane stanowisko jednego z czołowych pisarzy emigracyjnych, Józefa Mackiewicza. Pryncypializm i maksymalizm Mackiewicza jest pociągający jako postawa etyczna, ale bardzo ahistoryczny. Jaśniejsze rozdziały w ponurych na ogół dziejach ludzkości wyłaniają się niemal zawsze za sprawą kompromisów, stopniowego ulepszania, poprawiania, drobnych, mozolnych zabiegów, uciążliwej i zygzakowatej ewolucji.

Po śmierci Chmielowca redakcję objęła długoletnia współpracowniczka pisma, Stefania Kossowska, Z kolei umarł świetny administrator Borman, następnie opiekun pisma Sakowski. Na skutek inflacji podskoczyła cena papieru i robocizny. Redaktorka raz po raz apelowała o pomoc, ale nie było jej tyle, by pismo mogło się utrzymać. Na dodatek wygasła dzierżawa lokalu. Zapadła więc gorzka decyzja, by pismo zamknąć w marcu 1981 roku, a ostatnie numery wydać już jako miesięczniki.

Współzawodnictwo między paryską „Kulturą” a londyńskimi „Wiadomościami” istniało od początku. Na łamach

wychodzącego w Anglii miesięcznika młodych „Kontynenty” w numerze 23-24 w 1960 roku ukazał się tekst dyskusji na temat tych pism z udziałem Marii Badowicz, Adama Czerniawskiego, Bogdana Czaykowskiego i moim. Wtedy widziałem oba periodyki w ten sposób:

> Z jednej strony mamy miesięcznik o formacie nowoczesnym i cechach książki, z drugiej tygodnik, niewygodną płachtę łamiącą się po kilkakrotnym złożeniu. „Wiadomości” już tylko informują, „Kultura” szerzy ferment umysłowy, stanowi bodziec i przynosi materiały zdolne nas głęboko poruszyć. „Wiadomości” hołdują chwalebnej i powszechnej w naszym wieku tendencji zaspakajania ciekawości kulturalnej, zwężonej przy tym do jej biało-czerwonego odcienia, pracowitej istnej arki Noego dla przyszłego historyka. Natomiast „Kultura” pozbawiona lwiej części tego bagażu kronikarsko-informacyjnego, o formacie nieznoszącym drobnicy, oferuje dobra kulturalne niewtórne, zdolne zapłodnić umysł czytelnika i dostarczyć mu prawdziwego artystycznego przeżycia. Zgodzimy się bez trudu, że literatura i sztuka winny wywierać impakt bezpośredni i trwały. Flirt z nimi stwarza pięknoduchowski nawyk zdolny nas uodpornić na piękno przez mnogość dostarczanych wrażeń czy opisów gotowych bryków. Może paradoksalnie zabrzmi teza, że przez rozstrzelenie zainteresowań i

> nagromadzenia materiału z peryferii kultury pismo omnibus wyświadcza niedźwiedzią przysługę. Rozdział sztuki i literatury od istotnego, głębokiego nurtu życia dzisiejszego człowieka świadczy o tym dobitnie.

Nieubłagany czas dokonał swego dzieła. Tuwim, Słonimski, Cat-Mackiewicz i Rostworowski wrócili do Polski i tam zmarli. Na emigracji odeszli Pawlikowska, Lechoń. Wierzyński Janta, Nowakowski i Wittlin. Na placu pozostali nieliczni, najwięcej wśród nich epigonów ze wspomnieniami, workami i tasiemcami gawęd. Owe nazwiska z Polski nie zdołały zmienić zasadniczego tonu. Była to literatura wtórna, niekonieczna i nie wyczekiwana, krótkich spięć nie powodowała, kulturalna, także zabawna, nie drążyła, nie prowokowała do myślenia. Czuło się, że pismo było wehikułem formacji przeżytej, nie chcącej, czy nie potrafiącej brać nowego na serio. Patronowały przemożne cienie Lechonia, Nowakowskiego, a nie Gombrowicza czy Miłosza. Dopalały się ostatki sarmackiej i kontuszowej przeszłości, były próby życia na niby dostrzegające mnóstwo spraw peryferyjnych i błahych, kosztem tego co zasadnicze i ważne. Może o takiej fazie pisma myślał Gombrowicz pisząc „gazetki literackie z ich beztroskim gaworzeniem o literaturze.

Zamykając pismo redaktorka napisała, że

> „Wiadomości” Grydzewskiego były pismem jednego człowieka, jego prywatną własnością i miały specjalny, nadany mu przez niego charakter. Byłoby naturalne, gdyby skończyły się razem z nim.

Dodaje zaraz potem:

> Ale kończy się wszystko stare i przychodzi nowe. Jeśli piękno literackie takie „Wiadomości” jest potrzebne – znajda się tacy, co je założą.

Jako sporadyczny współpracownik „Wiadomości” za ich trojga redaktorów pożegnałem je, mimo zastrzeżeń, z żalem. Dobrze się przysłużyły polskiej kulturze i w jej dziejach pozostaną znaczącym pomnikiem.

O Mieczysławie Grydzewskim i Stefanii Kossowskiej w magazynie „Culture Avenue”:

http://www.cultureave.com/czlowiek-to-styl-mieczyslaw--grydzewski-1894-1970/
http://www.cultureave.com/lwowiak-jan-chmielinski-spod--gor-ksiezycowych-obecny-i-nieobecny-w-polskim-londynie/

http://www.cultureave.com/juz-nie-napisze/

_____

Prof. Florianowi Śmieji, współredaktorowi „Culture Avenue” i niezastąpionemu mentorowi, z okazji 93-rocznicy urodzin, serdeczne życzenia składa

Redakcja



Przerwa wakacyjna



Szanowni Czytelnicy!

Pragniemy poinformować, że od 2 do 17 sierpnia 2018 r. trwać będzie przerwa wakacyjna. Kolejny numer magazynu „Culture Avenue” ukaże się w poniedziałek 20 sierpnia 2018 r.

1. Kolejna część wspomnień Tadeusza Jaworskiego, ukazująca się w pierwszy poniedziałek miesiąca, ukaże się w poniedziałek, 27 sierpnia.

2. Dziennik z podróży polskiego iberysty Zygmunta Wojskiego, ukazujący się w drugi czwartek miesiąca, ukaże się w czwartek 23 sierpnia.

Redakcja

Historia zagubionej rodziny. Część 2.

O pasji w poszukiwaniu korzeni



Dwór 6 x pradziadków Bieniaszewskich w Wysokiej Głogowskiej.

Janusz Andrasz

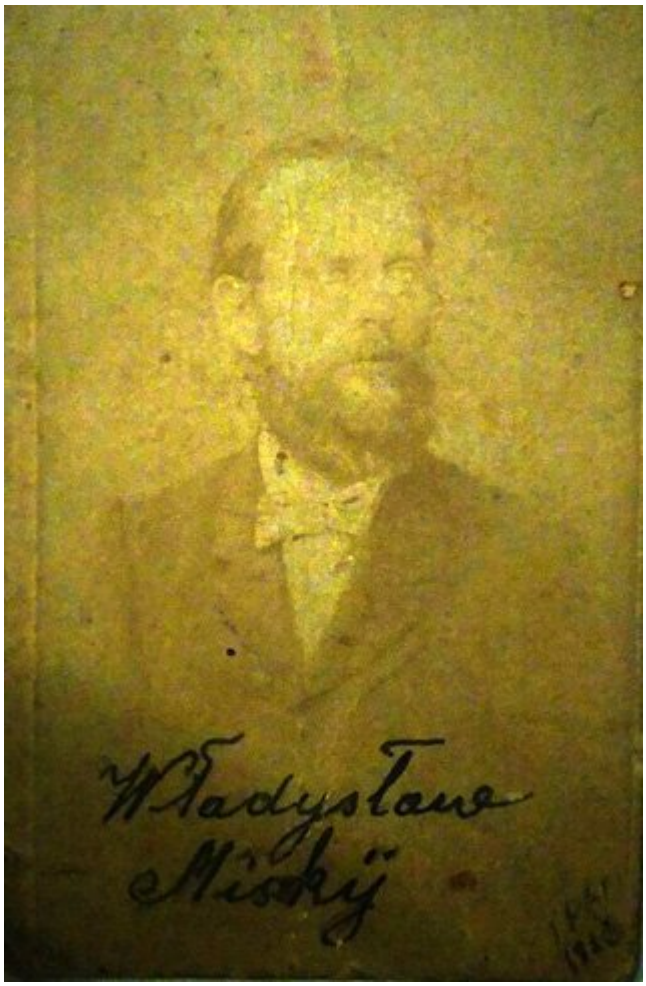
Pytania. Im więcej ich zadajemy, tym więcej się ich pojawia… Wciąż pytam i ciągle szukam. Czuję się, jak dziecko, któremu ktoś rzucił pudełko z milionem *puzzli*. Zapewne kiedyś ułożę cały obraz. Pytanie tylko kiedy to się stanie, a raczej kiedy uznam, że obraz jest już pełen?

***

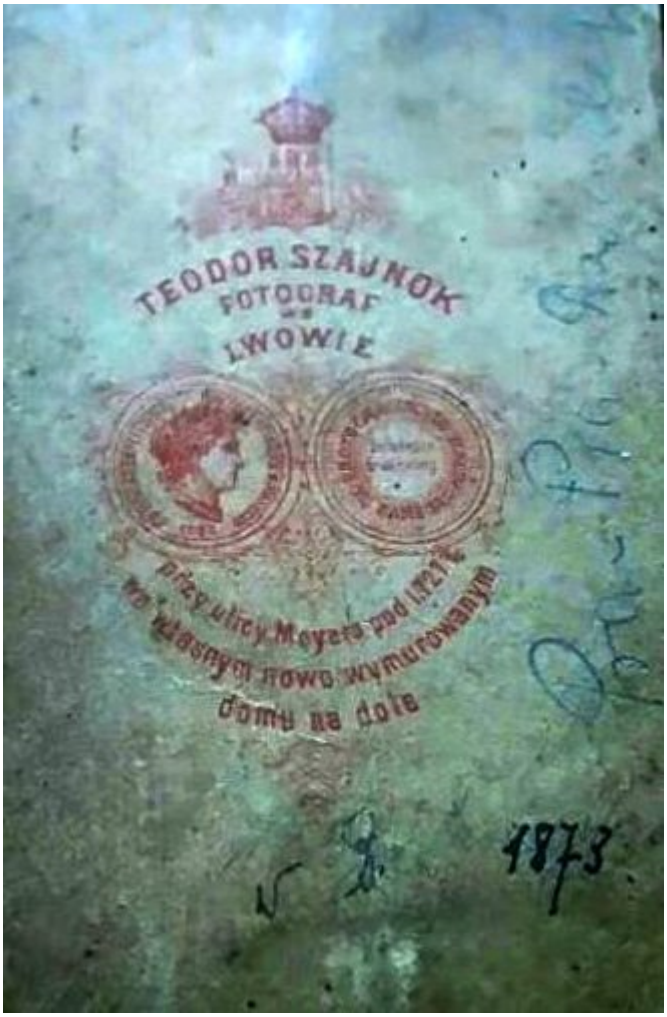
Władysław – przodek z fotografii

Tak jak wspomniałem, fotografię Władysława zobaczyłem po raz pierwszy dzięki mojej kuzynce – Barbarze Grunwald, prawnuczce Piotra Bielawskiego, który był bratem mojego pradziadka,

Stanisława Bielawskiego. Oboje byli synami Stanisławy Misky, po mężu Bielawskiej, o której już wspominałem. Swoją drogą, to zabawne uczucie zobaczyć fotografię zrobioną ok. roku 1870, na ekranie swojego smartfona. Oryginał fotografii oraz Barbarę i jej rodzinę, zobaczyłem dopiero rok później, odwiedzając ich w Wielbarku, dokąd zawierucha wojenna zawiała ich po II wojnie światowej.



Władysław Misky – fotografia od której wszystko się zaczęło.



Władysław Misky – rewers.

Jan Władysław Franciszek, bo takie imiona nadano na chrzcie mojemu 4 x pradziadkowi, urodził się 16.06.1835 r. w majątku swojego ojca, Bziance. Dzisiaj jest ona już częścią Rzeszowa. Władysław (bo tego imienia używał na co dzień), uczęszczał do rzeszowskiego gimnazjum, którego absolwentem został w roku 1853. Następnie przez jeden semestr był studentem UJ na Wydziale Filozoficznym. Więcej na temat jego wykształcenia nie udało mi się ustalić. Podczas studiów w Krakowie był oddany pod opiekę lekarza wojskowego, Fryderyka Raspa.

Myślę, że Władysław i jego ojciec Karol zapisali się w sposób dość niezwykły w dziejach rzeszowskiego gimnazjum, ofiarując do jego zbiorów ogromną czaszkę mamuta, wydobytą na ziemiach należących do Karola Misky. W zbiorach obecnego radnego Rzeszowa, mieszkającego w Bziance, pana Kamila Skwiruta, zachował się list Jana Daszkiewicza, ówczesnego dyrektora rzeszowskiego gimnazjum. Dziękuje on w nim za przekazany dar. Czaszka znajduje się dzisiaj w zbiorach krakowskiego Muzeum Przyrodniczego PAN. To nie były jedyne wykopaliska, w których brał udział Władysław. Na terenie majątku należącego do jego przyszłego teścia, Roberta Rungego z Morawska i zapewne pod jego okiem, w czerwcu 1855 r. uczestniczył on w rozkopaniu znajdującego się tam kurhanu, pochodzącego z czasu tak zwanej „kultury ceramiki sznurowej", datowanej na III tysiąclecie p.n.e. Wszystkie znaleziska zostały przez 20-letniego Władysława starannie opisane i zawiezione 12 listopada 1856 r do Muzeum Starożytności (obecne Muzeum Archeologiczne) w Krakowie.

Skoro już wspomniałem osobę teścia Władysława, warto by również przejść do ożenku mojego 4 x pradziadka. Wybranką jego serca została Waleria Runge, córka właściciela majątku Morawsko, leżącego w okolicy Jarosławia. O Walerii urodzonej w 1841 r. niczego się nie dowiedziałem. W tych czasach znakomita większość kobiet znajdowała się w cieniu męża i o nich rzadko pisało się w prasie. Zagadką jest też dla mnie, gdzie mieszkali

państwo młodzi zaraz po ślubie, który zawarli 10.10. 1857 r. W zapowiedziach kościelnych jako miejsce zamieszkania Władysława podana została Munina – wioska znajdująca się obok Morawska. Dlaczego akurat tam mieszkał? Prawdę mówiąc, to nie wiem, czy potem mieszkał w Muninie, w majątku swojego ojca – Bziance, czy może już gdzieś na Podolu? Z notatek w „Kurierze Lwowskim" za rok 1958 dowiedziałem się, że był częstym gościem we Lwowie. Kilka lat później wymieniany jest jako właściciel, lub zarządca kilku majątków na Podolu. Jest dla mnie niewiadomą co łączyło go z tymi miejscami.



Ferdynand Runge, fot. Muzeum w Jarosławiu.

Rodzina Runge

Runge, podobnie jak i rodzina Miskych, „rozpłynęła się” w mrokach, przecież nie aż tak odległych czasów. Proces

odtwarzania przeze mnie jej dziejów wciąż trwa, bo ku mojemu zdziwieniu, była to rodzina całkiem liczna. Mimo to, na przestrzeni ostatnich dwustu lat została praktycznie zapomniana.

Najwcześniejsze wzmianki o nazwisku Runge na Podkarpaciu z którymi się zetknąłem pochodzą z końca XVIII w. Mówią one o moim 6 x pradziadku, Janie Fryderyku Runge (prawd. 1769 – 1838 r.). Miał on pochodzić z terenów dzisiejszej Austrii, chociaż jedna z odnalezionych przeze mnie członkiń rodziny Runge twierdzi, iż w jej domu mówiło się, iż „nasi" Rungowie pochodzą od Rungów, z których wywodzi się przedstawiciel niemieckiego malarstwa doby romantyzmu – Philipp Otto Runge (1777 – 1810 r.), a więc w grę wchodziłyby tereny Meklemburgii. Materiałów na temat rodzin noszących to nazwisko, a mieszkających w różnych regionach dawnej Rzeszy Niemieckiej, jest sporo i z pewnością upłynie jeszcze trochę wody, zanim dowiem się, z którą z nich jest związana moja gałąź Rungów.

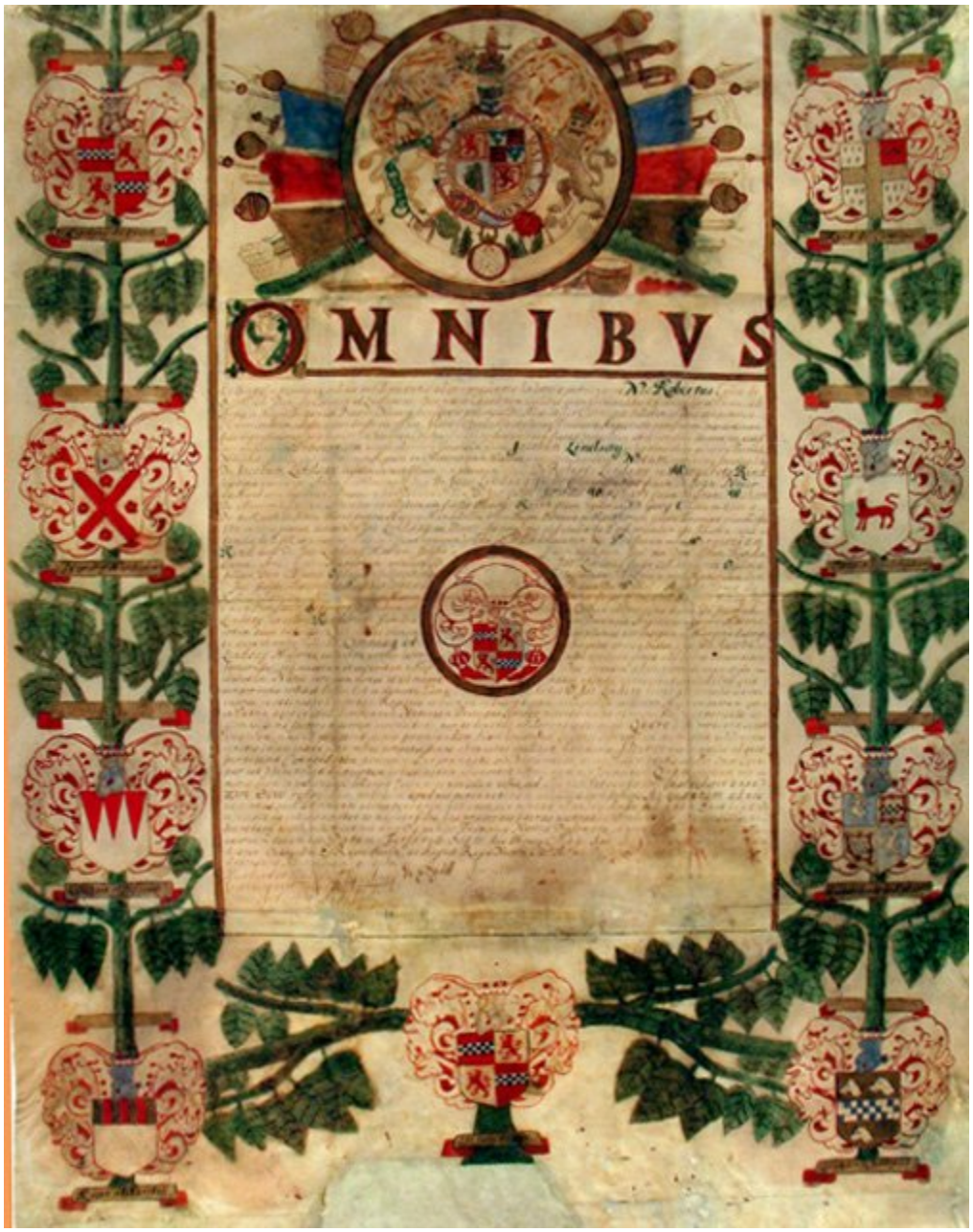
Jan Fryderyk Runge ożenił się z Elżbietą Litzke, córką Karola Gottlieba Litzke, Niemca z Pomorza Gdańskiego. Ten ostatni pojawił się w Jarosławiu, aby w roku 1777 założyć tu fabrykę produkującą sukno na potrzeby wojska. Interes najwidoczniej musiał się świetnie rozwijać, bo w 1790 r. wraz z żoną zakupili w najbliższej okolicy kilka majątków ziemskich, m.in. Wiewiórkę, Różę, czy Jaźwiny. Na potrzeby wspomnianej fabryki sukna Litzkowie dzierżyli też ziemie poklasztorne – Morawsko i

Kidałowice, które za jakiś czas zostały przez nich zakupione na licytacji. Małżeństwo Runge stało się też właścicielami pałacyku (znanego dzisiaj pod nazwą „Dwór Rungów"), położonego w samym centrum Jarosławia (obecnie przy ul. Jana Pawła II), który odkupili od Czartoryskich. Razem z kuzynką, pochodzącą również z rodziny Runge, mieliśmy okazję zobaczyć go podczas ubiegłorocznej wyprawy śladami naszych przodków. Pałacyk znajduje się niestety w stanie totalnej ruiny. Zapewne dzisiejsi jego właściciele czekają aż się rozpadnie całkowicie ze starości i będą mogli sprzedać teren.

Szkocki wątek

Zanim opowiem dalej o rodzinie Runge, muszę wspomnieć o pewnym, rozwojowym wątku. Dotyczy on żony wspomnianego Karola Gottlieba Litzke. Była nią Katarzyna z domu … Watson. Poślubiła ona Karola Gottlieba 10 maja 1767 r. w kościele Mariackim w Krakowie. I już tutaj rozpoczynają się zagadki. Informacja ta pochodzi z publikacji ks. Jana Sygańskiego z 1912 r. „Metryki kościoła Maryackiego i katedry na Wawelu w Krakowie". Dowiedziałem się z niej, że w chwili zawarcia małżeństwa, Katarzyna była wdową a jej pierwszym mężem był nieznany z imienia … Lindsay! Jak więc widać, swój ciągnął do swojego – i Watson i Lindsay to nazwiska pochodzące ze Szkocji.

Mimo dużych poszukiwań, nie udało mi się odnaleźć żadnych informacji na temat rodziców Katarzyny, ani też jej męża Lindsay'a. Podczas mojego pobytu w krakowskim oddziale Archiwum Narodowego, miałem natomiast okazję zobaczyć bardzo ciekawą pomiątkę po pewnym Jakubie Lindsay'u, mieszkającym w XVII w. w Krakowie właśnie, ubiegającym się o przyjęcie go do ...cechu garncarzy! Do podania dołączony był rodowód Jakuba, nadesłany ze Szkocji, wraz z jego rozrysowanym drzewem genealogicznym. Rodzina Lindsay d'Etzel okazała się być jedną z najstarszych, spokrewnioną z królewskim domem Szkocji. Zagadką pozostaje jednak, w jakim celu ktoś pochodzący z takiej rodziny, starając się o wejście do cechu garncarzy, przedstawiał do wglądu starszym cechu taki dokument? Z początku byłem pewien, że uda mi się ustalić coś więcej o Watsonach i Lindsay'ach w Polsce. Okazało się jednak, że Szkotów mieszkającychy w Polsce w XVII-XVIII (w tym Lindsay'ów i Watsonów) było zatrzęsienie i na razie nie sposób jest dowiedzieć się niczego bliższego na temat tych dwóch, interesujących mnie rodzin. Udało mi się jednak odszukać potomków córki Katarzyny Watson i jej pierwszego męża Lindsay'a. Wyszła ona za mąż za Johanna Burggallera, architekta, który działał na Podkarpaciu. W pałacyku w Rzeszowie, który wybudował na potrzeby swojej rodziny, mieści się obecnie siedziba oddziału Polskiego Radia. Potomkiem dzieci Burggallerów jest stara czeska rodzina szlachecka: Sedlnitzky-Odrowaz von Choltitz.



Wywód przodków Jakuba Lindsay'a.

Powracając do Jana Fryderyka i Elżbiety Runge mieli oni dziewięcioro dzieci: Wilhelma Runge, który poślubił Salomeę Kraczewską, córkę znamienitego jarosławskiego mieszczanina, Macieja Kraczewskiego, Edwarda Runge, Aleksandra (ożenionego z córką znanego, lekarskiego rodu ze Lwowa – Marią Mossing), Karolinę, żonę Wilhelma Weissa (byli oni

rodzicami późniejszego burmistrza Jarosławia – Gustawa Adolfa Weissa), Fryderyka Runge, żonatego z Katarzyną Piasecką, głównego zarządcy Ordynacji Dzieduszyckich, mieszkającego w Zarzeczu, Alfreda Runge, Amalię Runge, Luizę Runge, żonę pułkownika Jana Bartscha z Jarosławia i mojego przodka – Roberta Runge.

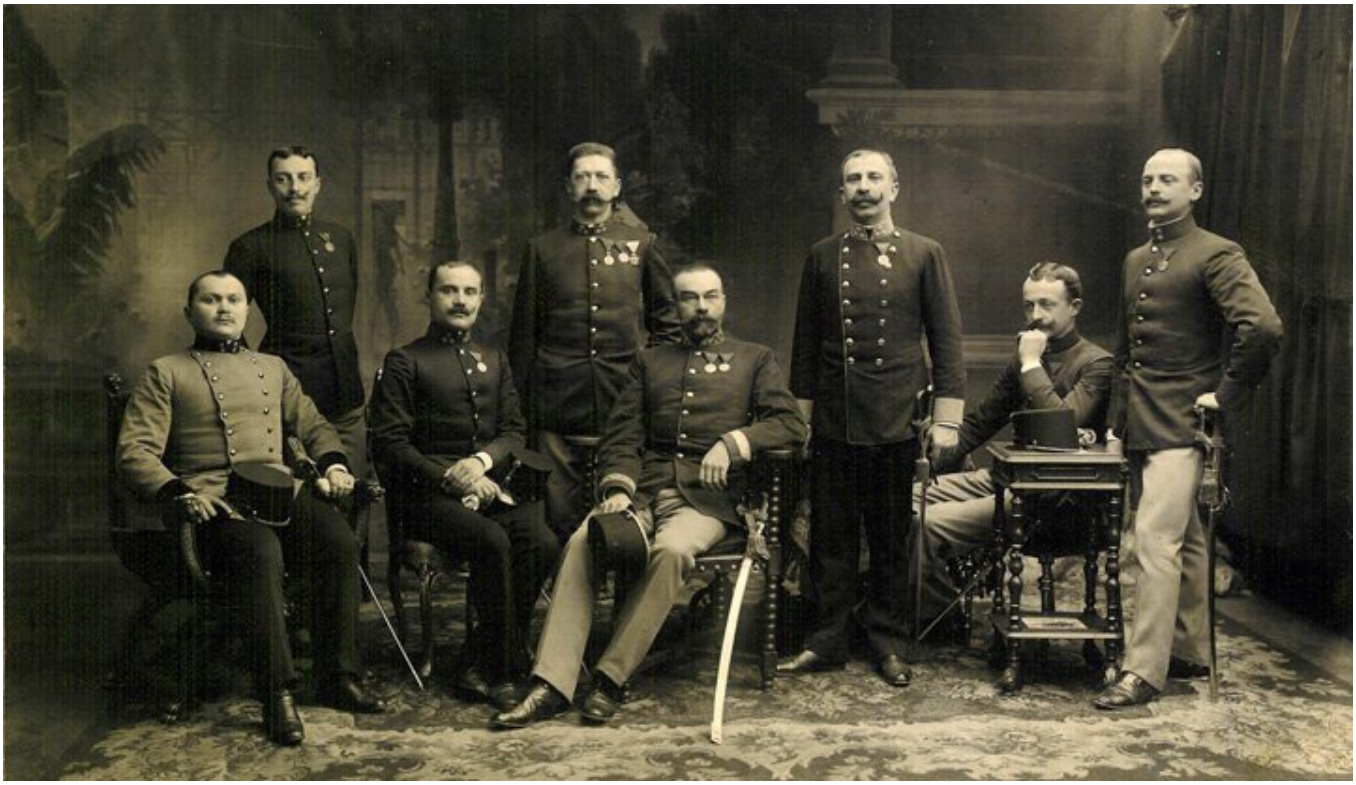


Dwór Rungów w Jarosławiu.

Mogę chyba śmiało powiedzieć, że najmniej z tych wszystkich wymienionych dzieci Jana Fryderyka wiem o moim Robercie. Austriackie Szematyzmy mówią, że razem ze swoim bratem Aleksandrem, byli oficerami w Galicyjskim Regimencie Piechoty. Adam Serdeczny, autor opracowania „Morawsko od czasów starożytnych do końca XX w.”, napisał iż według informacji zawartych w liście mojego 4 x pradziadka Władysława Misky’ego

do Muzeum Starożytności w Krakowie, Robert „pozostawił karierę wojskowego i powrócił na gospodarstwo dziedziczne”. Z listu wynika również, że „Robert interesował się dziełami zabytkowymi i archeologią”. Jedynym znanym mi działaniem związanym z pasjami Roberta, było opisane powyżej wykopaliska na terenie jego majątku w Morawsku.

Robert Runge, któremu w podziale majątku po zmarłym ojcu przypadło Morawsko, ożenił się z Antoniną Vever (Wewer). Jeszcze do niedawna wydawało mi się, że Antonina nosiła nazwisko Werner – dokumenty, które posiadam, zostały spisane tak niechlujną ręką, że trudno być w 100% pewnym nazwiska. Myślę, że te rozterki związane z bazgrzącymi niczym kura pazurem księżmi, znane są wszystkim pasjonatom genealogi. Dzięki odnalezieniu całkiem niedawno kolejnych dokumentów w kościelnych archiwach, nazwisko Vever zostało potwierdzone.



Regimentskommandant garnizonu w Salzburgu, Johann v. Vever – syn Johanna Melchiora Vevera, fot. www.rainerregiment.at

Cywińscy

Teściem Roberta Rungego był austriacki kapitan Johann Melchior von Véver. Jak to zwykle bywa, w poszukiwaniu osób o obco brzmiącym nazwisku, musiałem wykazać się kreatywnością. O ile nazwisko Véver nie dawało praktycznie żadnych wyników, o tyle jego spolszczona wersja – Wewer i owszem… Udało mi się nawet uzyskać metrykę chrztu wspomnianego Johanna! Dowiedziałem się z niej, że jego ojciec Franciszek był również oficerem austriackiej armii, a matka to Antonina Cywińska h. Puchała, ur. w 1805 r. w Bieżanowie (obecnie część Krakowa). Rodzicami Antoniny byli z kolei Klemens Cywiński (1760 – ? r.) i Anastazja Lewiecka, córka Michała Lewieckiego. O Lewieckich

udało mi się dowiedzieć całkiem sporo w oddziale Archiwum Narodowego na Wawelu. Zachowały się tam bowiem dokumenty dotyczące podziału spadku po bracie Anastazji.

Drugą żoną Klemensa była Barbara z Bykowskich (1770 – ? r.). Po wpisaniu hasła „Barbara Bykowska" na portalu **wielcy.pl** i **myheritage.pl** zobaczyłem pełną genealogię tej rodziny. Okazało się, że jest to jedno z najstarszych polskich nazwisk w Polsce, którego udokumentowane dzieje sięgają początków polskiej historii. O Klemensie oprócz tego, że pochodził z Mazowsza, a w Galicji posiadał majątek Regulice, leżący w powiecie chrzanowskim, nie udało mi się, jak na razie, dowiedzieć zbyt wiele. Ciekawostką jest to, że i w Regulicach i w samym Krakowie, był właścicielem browaru. Ten krakowski odkupił od zakonu karmelitów, wraz ze sporym terenem, gdzie też się ostatecznie osiedlił. Dzisiaj przylega on do kościoła Karmelitów na Piasku. Zachowały się dokładne mapy pokazujące działkę należącą do Klemensa, zachował się też zapisek mówiący o tym, że produkował on „dobre, angielskie piwo", czyli jak się dowiedziałem to, co dzisiaj nazywamy porterem. Niestety jego potomkowie sprzedali browar a szkoda… nie miałbym nic przeciwko pozostania browarnikiem! Z ogromną pomocą osoby pochodzącej z rodziny Cywińskich (tyle że z jej litewskiej gałęzi), udało mi się ustalić m.in., że Klemens Cywiński był również przodkiem Izabelli Cywińskiej, znanej reżyserki, którą ja zapamiętałem jako panią minister kultury w legendarnym już

rządzie Tadeusza Mazowieckiego.



Antonina Cywińska Vever – tablica wmurowana w ścianę kościoła w Myślenicach.

Córką Klemensa i jego pierwszej żony Barbary Cywińskiej, była osoba o oryginalnym imieniu – Symforoza Cywińska (1793 – ? r.). Poślubiła ona przedstawiciela bogatego krakowskiego rodu – Karola Treutlera de Traubenberga (1791 – 1866 r.), ojca Anny (1813 – 1880 r.), która to z kolei została żoną Ludwika Helcela (1810 – 1872 r.). Był on znaną postacią w ówczesnym szacownym mieście Kraków. Wraz z żoną ufundowali istniejący do dziś Dom Ubogich im. Ludwika i Anny Helclów. Po śmierci spoczęli w ufundowanej przez siebie Kaplicy Zmartwychwstania Pańskiego, którą własnym sumptem wznieśli na krakowskim Cmentarzu

Rakowickim. Służy ona do dzisiaj wszystkim krakowianom.

Swoistą ciekawostką, pokazującą wzajemne powiązania rodzinne, jest fakt sprzedaży przez Józefa Pawełkę (spokrewnionego z Miskymi) swojego majątku Podolany rodzinie Hallerów, którzy z kolei byli bliskimi krewnymi rodziny Helclów.

Oprócz mojej 4 x prababki, a późniejszej małżonki Władysława Misky'ego – Walerii Runge (1841 -? r.) Robert posiadał jeszcze dwóch synów – Alojzego „Żegotę" Runge (1843 – 1902 r.) i Ludwika Juliana Runge (1847 – 1912 r.).



Jan Czernecki

Stanisława była jedyną córką Alojzego. Poślubiła Jana Czerneckiego (1871 – 1955 r.), znanego księgarza, wydawcę i fotografika i mecenasa wielu młodopolskich artystów. Pozostałe

dzieci Alojzego to: Tadeusz Runge, starosta w Brodach (1873 – ? r.), Włodzimierz Runge (1877 – 1912 r.) i Kazimierz Runge. Syn Tadeusza – również Tadeusz, o drugim imieniu Maciej (1898 – 1975 r.), jest chyba jednym z najbardziej znanych przedstawicieli rodziny Runge. Żołnierz WP i AK, był jednym z „cichociemnych", zrzuconych w roku 1944 na teren Warszawy. W maju tego roku objął funkcję kierownika Centrali Zaopatrzenia Terenu (CZT) w Oddziale V sztabu Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Komendy Głównej Armii Krajowej. Oto jak jego działalność została opisana w IPSB:

> Posługiwał się nazwiskami: Jan Kurcz, Witold Mirecki. W dn. 15 V 1944 został mianowany majorem (ze starszeństwem od 10 IV t. r.). W powstaniu warszawskim dowodził batalionem „Czata 49" (sformowanym przez siebie w lipcu 1944 z pracowników CZT), walczącym w składzie Zgrupowania „Radosław" kolejno na Woli, gdzie dowodził także zachodnim odcinkiem obrony, na Muranowie, na Starym Mieście, w Śródmieściu, na Czerniakowie i na Mokotowie. Był dwukrotnie ranny na Starym Mieście. Od 2 X 1944 leczył się w szpitalu powstańczym, a następnie przebywał w obozach w Pruszkowie i w Skierniewicach, skąd zbiegł 15 XI t. r. Ok. 2 X t. r. został awansowany do stopnia podpułkownika, co zatwierdził Naczelny Wódz 22 XII 1945.

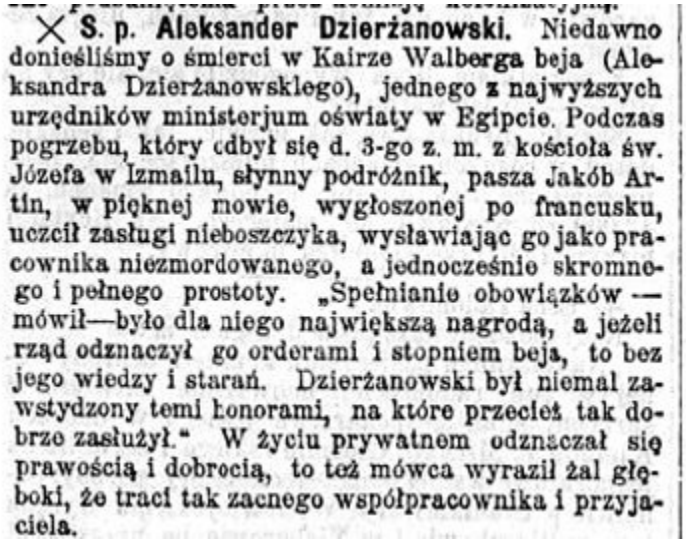
> W lipcu 1945 opuścił R. kraj; przez Czechosłowację i Francję przybył we wrześniu t. r. do Londynu, gdzie do grudnia t. r. leczył się w Szpitalu Wojennym Nr 4. Następnie osiadł w Londynie na stałe.

Tadeusz M. Runge podczas Powstania Warszawskiego był dowódcą Ryszarda Ścibor – Rylskiego, obecnie w stopniu generała. Miałem przyjemność rozmawiać z generałem i usłyszeć wiele komplementów pod adresem Tadeusza M. Rungego. Major Runge był czterokrotnie żonaty, niestety nie udało mi się nawiązać kontaktu z jego potomkami.

Drugim synem Roberta Runge, mojego 5 x pradziadka, był wspomniany już Ludwik Julian Runge, inżynier kolejnictwa, zamieszkały we Lwowie. Jego synem był Stanisław Izydor Runge (1880 – 1953 r.), lekarz weterynarii i rektor Uniwersytetu Poznańskiego. Oprócz bogatej działalności na niwie pracy naukowej, w tym wielu opublikowanych książek i prac naukowych, profesor Runge znany był ze swoich sympatii do osoby marszałka Józefa Piłsudskiego, co przysparzało mu niejednokrotnie kłopotów, czynionych przez należących do opozycyjnego obozu endeków.

Głównym (i największym) majątkiem rodziny Runge były Dmytrowice (obecnie – Olszynka), położone koło Radymna. Po

Janie Fryderyku odziedziczył je chyba jego najstarszy syn – Wilhelm, a po nim jego syn – Jan, żonaty z Anielą Rozborską (córką Michała Rozborskiego, właściciela Trójczyc). Aniela po śmierci męża wyszła po raz drugi za mąż, za Aleksandra Terleckiego, właściciela Cieszacina i Ożańska.



× **S. p. Aleksander Dzierżanowski.** Niedawno donieśliśmy o śmierci w Kairze Walberga beja (Aleksandra Dzierżanowskiego), jednego z najwyższych urzędników ministerjum oświaty w Egipcie. Podczas pogrzebu, który odbył się d. 3-go z. m. z kościoła św. Józefa w Izmailu, słynny podróżnik, pasza Jakób Artin, w pięknej mowie, wygłoszonej po francusku, uczcił zasługi nieboszczyka, wysławiając go jako pracownika niezmordowanego, a jednocześnie skromnego i pełnego prostoty. „Spełnianie obowiązków — mówił—było dla niego największą nagrodą, a jeżeli rząd odznaczył go orderami i stopniem beja, to bez jego wiedzy i starań. Dzierżanowski był niemal zawstydzony temi honorami, na które przecież tak dobrze zasłużył." W życiu prywatnem odznaczał się prawością i dobrocią, to też mówca wyraził żal głęboki, że traci tak zacnego współpracownika i przyjaciela.

Notka prasowa o śmierci Aleksandra Walberga Dzierżanowskiego, „Kurjer Warszawski", R. 8 nr 189 (11 lipca 1903 r.) – Polona.

Ciekawą postacią był mąż ich córki Zofii, urodzony w Warszawie Aleksander Dzierżanowski h. Grzymała (1826 – 1903 r.), syn Konstantego Dzierżanowskiego i Katarzyny Walberg. Mimo moich wytężonych poszukiwań, nie udało mi się ustalić niczego konkretnego na temat jego rodziców. Walbergów można spotkać w Piotrkowie Trybunalskim (wzmianka o Ludwiku Walbergu z 1872 r., w Siedlcach (wzmianka o Michale Walbergu w Kurierze Warszawskim z 1888 r.). Ślady nazwiska Walberg prowadzą raczej do Rosji, gdzie działał Iwan Walberg, dyrektor

Cesarskiego Baletu. W rosyjskich archiwach znaleźć można jeszcze innego człowieka noszącego to nazwisko: Iwana Iwanowicza Walberga. Był on rosyjskim wojskowym, który znalazł się potem w… Wermahcie. Spotkałem też wzmiankę o Janie Walbergu, wymienianym w roku 1859 w Kurierze Warszawskim jako „Sztabs – kapitan z Prus". Ślady związane z ojcem Aleksandra – Konstantym Dzierżanowskim, wiodą do rodziny Czartoryskich, z którymi Dzierżanowscy h. Grzymała zostali związani dzięki małżeństwu Marii Dzierżanowskiej z Konstantym Czartoryskim (1773 – 1860 r.).

Zainteresowałem się osobą Aleksandra Dzierżanowskiego ze względu na jego niebanalny życiorys. Nie wiem niestety, czym zajmował się do roku 1872, kiedy poślubił Zofię Runge. Wkrótce jednak potem (w roku 1877) wyjechał do Egiptu, gdzie aż do swojej śmierci, która miała miejsce w roku 1903, pracował jako dyrektor wydziału szkół europejskich w egipskim ministerstwie oświaty. Był jednym z tych, którzy oprowadzali po Kairze i być może nie tylko po nim, naszego słynnego rodaka, Henryka Sienkiewicza podczas jego pobytu w Egipcie w roku 1891. Pisała o tym w swojej książce żona austriackiego konsula w Egipcie, Anna Neumannowa. Innym turystą, któremu Aleksander Dzierżanowski pokazywał Egipt, był arcyksiążę Rudolf Habsburg.

Aleksander opublikował również kilka prac dotyczących szkolnictwa. Podpisywał się jako Aleksander Walberg –

Dzierżanowski Bej. Otrzymał bowiem tytuł bej (tur. – bey), nadawany wyższym urzędnikom na terytorium państw tureckich. Wiem tylko tyle, że pochowany został w koptyjskim kościele w Kairze, natomiast jego żona Zofia, najprawdopodobniej powróciła do Polski. Niestety, wciąż nic mi nie wiadomo o ich potencjalnym potomstwie i dalszych losach Zofii Dzierżanowskiej. I jak tutaj przejść obojętnie obok tak barwnej postaci? Nie pozostaje mi nic innego, jak napisać list, nalepić znaczek i wysłać go do kairskiego kościoła. Niestety, mimo iż intensywnie szukałem, ani na jego stronie internetowej, ani w Internecie, nie ma śladu po adresie mailowym tego koptyjskiego kościoła… No cóż, w końcu to jedna z najstarszych, wciąż działających instytucji na świecie. Jak widać, w XXI wieku takie szacowne instytucje mogą doskonale funkcjonować bez posiadania adresu mailowego …

Cześć 1:

http://www.cultureave.com/historia-zagubionej-rodziny-czesc-1/

Ze wspomnień starego lokaja



Zamek w Łańcucie w 1924 r., fot. 1-P-2131 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Zamek w Łańcucie jest jednym z najpiękniejszych zabytków kultury dawnej Polski. Otoczony wspaniałym angielskim parkiem, fosą, w której nigdy nie było wody, tylko pnąca się po skalistej nawierzchni roślinność, z największą w Europie prywatną kolekcją Powozów i słynnymi Międzynarodowymi Festiwalami

Muzyki, stanowi do tej pory miejsce chętnie odwiedzane przez turystów z całego świata.

Zamek przez wiele lat był siedzibą rodziny Potockich. Po śmierci Romana Potockiego w 1915 roku czwartym i ostatnim łańcuckim ordynatem został Alfred Potocki. Spokrewniony z rodzinami arystokratycznymi w całej Europie obracał się w kręgu europejskiej śmietanki towarzyskiej, a poprzez brata Jerzego, ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych, miał stały kontakt z politykami, dyplomatami i bieżącymi wydarzeniami na amerykańskim kontynencie. Po likwidacji skutków I Wojny Światowej i uregulowaniu spraw administracyjno-gospodarczych, w Łańcucie znów zaczęła rozbrzmiewać muzyka, a przed zamek zajeżdżały gościnne zaprzęgi czy luksusowe czarne limuzyny. Przyjmowani byli znakomici goście z całego świata. Z oficjalnymi wizytami przybywali m.in. król Rumunii, książę i księżna Kentu, marszałek Piłsudski, prezydent Mościcki, minister Beck.

> Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał. Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości z zagranicy byłem pewien słuszności swych usług dla mego kraju
> – pisał Potocki w „Pamiętnikach”.



Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Hrabia Alfred Potocki (na pierwszym planie w środku), hrabina Maria Helena Potocka i minister spraw zagranicznych Józef Beck w rozmowie przed zamkiem łańcuckim. Na drugim planie widoczna księżna Kentu Marina (pierwsza z prawej) i hrabia Benedykt Władysław Tyszkiewicz, 1937-38 r, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-P-2133-4.



Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Książę Jerzy (z prawej w jasnym ubraniu) z małżonką Mariną w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka (z prawej pod parasolem) i pani Jadwigi Beck przed zamkiem łańcuckim. Z lewej w jasnej sukience widoczna hrabina Maria Helena Potocka, w bramie zamku Alfons Kozieł-Poklewski i hrabia Alfred Potocki, 1937-38 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-P-2133-6.

Aleksander Świątoniowski przed wojną był lokajem z pierwszego piętra. A na pierwszym piętrze znajdowały się reprezentacyjne pomieszczenia: Sala Balowa, Biała Jadalnia, Teatr i luksusowe, gościnne apartamenty. Pracował w Zamku długo, bo od 1927 roku, aż do wyjazdu Potockich z kraju w 1944 roku. Trudno było do niego trafić. Zaraz po wojnie oprowadzał wycieczki po upaństwowionym już Muzeum-Zamku. Komuś się nie spodobało, że chwalił byłych właścicieli i stracił pracę. Od tej pory nie przyznawał się do dawnej służby.

Zbierając materiały o rodzinie Potockich szukałam osób, które

mogły by mi opowiedzieć o przedwojennych czasach. Niestety, rodzina czy przyjaciele mieszkali w dużej części za granicą, a byli pracownicy, to starsi ludzie, którzy niewiele wiedzieli. – Ja proszę Pani stolarzem byłem, więc nie bywałem na pokojach – słyszałam. Wtedy, młody bibliotekarz pracujący w Bibliotece Zamkowej Tadeusz Baj powiedział mi o lokaju z pierwszego piętra, który mieszkał w Soninie pod Łańcutem i był jego sąsiadem. Umówił mnie i poszliśmy razem.



Biała Jadalnia na starej fotografii. Jadalnia położona obok Sali Balowei i Teatru pełniła funkcję rerezentacyjną. Tu odbywały się bankiety i tu byli przyjmowani dostojni goście.

Aleksander Świątoniowski okazał się bardzo miłym starszym panem. Wysoki, barczysty, z gęstymi włosami. Na pierwsze piętro dobierani byli przecież pracownicy o reprezentacyjnym wyglądzie. Przyjął mnie bardzo gościnnie, widać był zadowolony, że może sobie powspominać. Nie czekając na pytania z mojej strony zaczął opowiadać.

– *Kiedy zjeżdżali się ważni goście, to mieliśmy masę roboty i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i bawili do Trzech Króli. Potem Potocki jechał za granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.*

Staremu lokajowi plączą się czasami wydarzenia, mylą nazwiska, poprawia się, zastanawia. Chce jednak jak najwięcej sobie przypomnieć i jak najwierniej odtworzyć tamte czasy, z okresu swojej młodości.

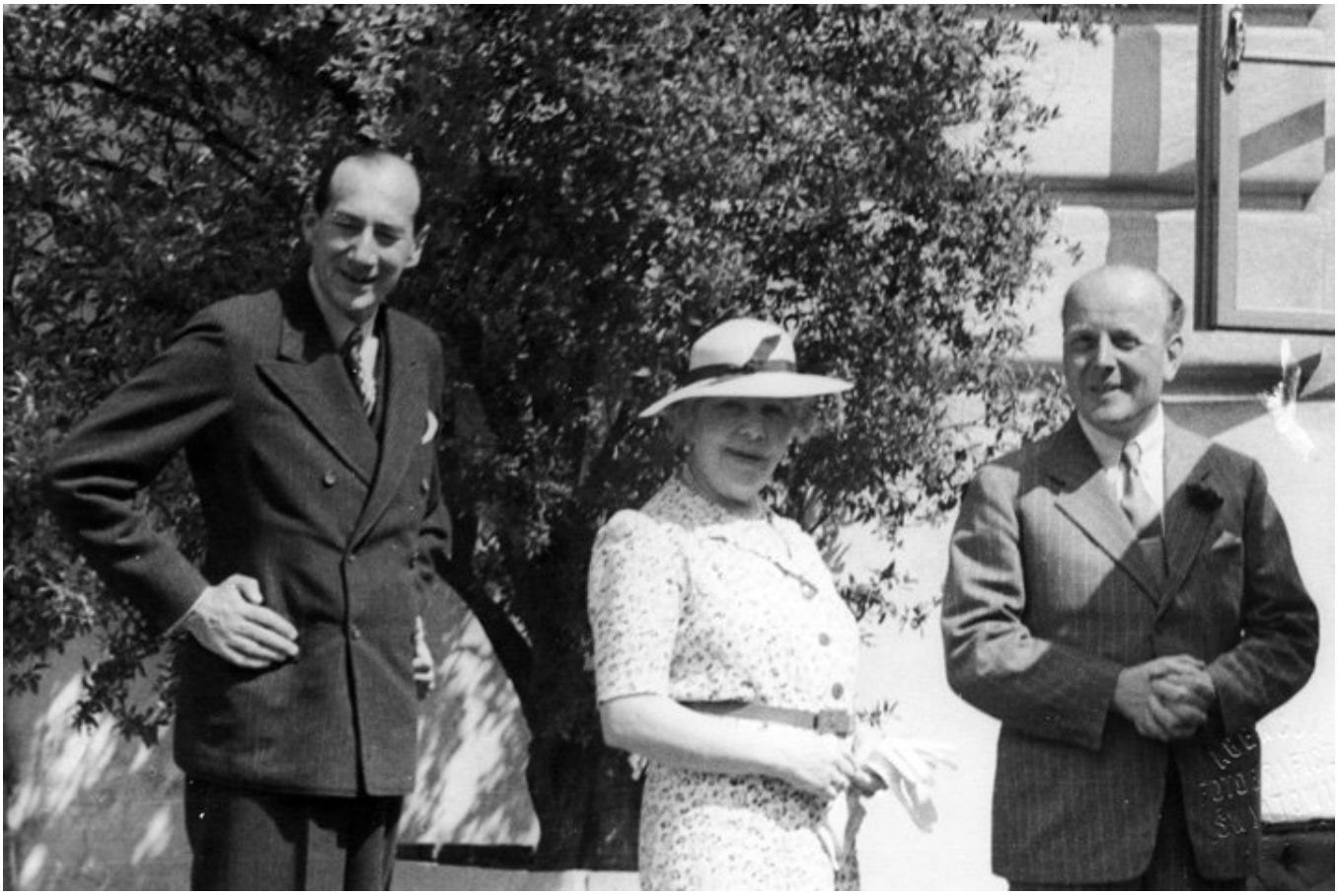
– *O, było tu i na co popatrzeć, było. Na przykład taka wizyta hinduskiego Maharadży. Co tu był wtedy za ruch, ile kolorowych wspaniałości. Błyszczące stroje, dziwne obyczaje. I ta egzotyka w naszym, galicyjskim Łańcucie.*

– *Albo ta aktorka Laura. Ile było z nią zamieszania.*

Z urywanego potoku słów można wywnioskować, że przez pewien czas mieszkańcy zamku interesowali się plotkami o pięknej aktorce Laurze, Amerykance, grającej podobno w Hollywood. Hrabia Potocki przywiózł ją do Łańcuta ze swoich amerykańskich wojaży. Szczerze w niej zakochany chciał się nawet z nią ożenić i zrobić piękną Laurę panią na Łańcucie. No, ale przecież matka ordynata, spokrewniona z europejskimi rodzinami panującymi, nie mogła dopuścić do takiego skandalu. Jej synowa, żona łańcuckiego ordynata – aktorką. Nie, to byłoby straszne.

Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął pewnie też dawny obyczaj, że po ślubie syna – ordynata, matka – wdowa, powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze. W związku z tym energiczna postawa Elżbiety Potockiej zmieniła tok wydarzeń. Piękna Laura musiała wyjechać.

– *W saloniku, na fortepianie do dziś stoi jej fotografia. To ta urodziwa kobieta z koralami na szyi.*



Hrabia Alfred Potocki (z prawej) z matką hrabiną Elżbietą Potocką i ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem w ogrodzie przed zamkiem łańcuckim w sierpniu 1937 roku, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

– *A słyszała pani o tym człowieku z Wrocławia, który podszywał się pod syna Potockiego?*

I znów lokaj zamienia się w gawędziarza.

Już po wojnie zgłosił się domniemany, nieślubny syn hrabiego. Mówił, że jego matka była kiedyś garderobianą w pałacu i spodobała się hrabiemu Alfredowi. Badano, pytano, przesłuchiwano świadków. Sprawdzano czy rzeczywiście była taka garderobiana. Jedni twierdzili, że była, inni, że nie. Rzekomy syn ordynata dokumentował swoje pochodzenie sygnetem, który miał dostać od hrabiego. Przy bliższych

oględzinach okazało się jednak, że sygnet był podrobiony. Półtrzecia krzyża na srebrnym polu, czyli Srebrna Pilawa, ma trzecią pałkę z prawej strony, a okazany przez domniemanego potomka pierścień, był niestety tylko lustrzanym odbiciem rodowego herbu.



Hrabia Alfred Potocki podczas przejażdżki konnej przed pałacem, 1924 r., fot. 1-P-2131 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

– *A ile było zamieszania wokół sprawy z ambasadorem Francji.*

Jak zwykle w karnawale Zamek tętnił życiem Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z gości, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast

„za Polskę i gospodarzy”. Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpisały, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przepraszać obrażonego gościa.



Od lewej: Jerzy i Alfred Potoccy,

Stary lokaj wyciąga przedwojenne fotografie. Tu w liberii lokajskiej, a tu w mundurze orkiestry straży pożarnej. Hrabia Potocki utrzymywał orkiestrę, która grała nie tylko na powitanie gości. Gdy w niedzielę rano ordynat jechał na mszę do kościoła, kazał grać marsze żałobne, a kiedy wracał, to same skoczne mazurki i oberki. Lubił muzykę ludową. Płacił każdemu, kto mu

zanucił nową przyśpiewkę. Przed wyjazdem z Polski na stałe hrabia Potocki ustawił swoich pracowników w rzędzie, ze wszystkimi się pożegnał i zapowiedział, żeby pilnowali majątku. Przypuszczał, że wróci do rodowej siedziby.

Przez długi czas po wyjeździe Potockich dyżurowano więc w Zamku i pilnowano, żeby nic nie zginęło. Zanim jednak obiekt został zabezpieczony, narażony był na kradzieże i dewastacje. Jeden z sekretarzy partii wydał nakaz zlikwidowania oznak dawnej świetności i śladów wyzysku. Niszczono więc boazerię i zabytkowe posadzki, wynoszono meble, porcelanowe serwisy, srebrne sztućce. A na zamkowym dziedzińcu rozpalono ognisko. W płomieniach znalazło się wiele cennych książek, mapy, XVII-wieczne atlasy, nuty z czasów Księżnej Marszałkowej. Dawni pracownicy wynosili do domów co się dało i ukrywali w piwnicach, żeby ochronić przed zniszczeniem.

Przez jakiś czas mieszkali w zamku rzekomi artyści – malarze. Zajmowali pokoje na drugim piętrze tzw. Gabardówkę. Po ich wyjeździe zauważono zniknięcie kilku obrazów Kossaka. Dzieła te znalazły się potem na aukcji w Stanach Zjednoczonych.

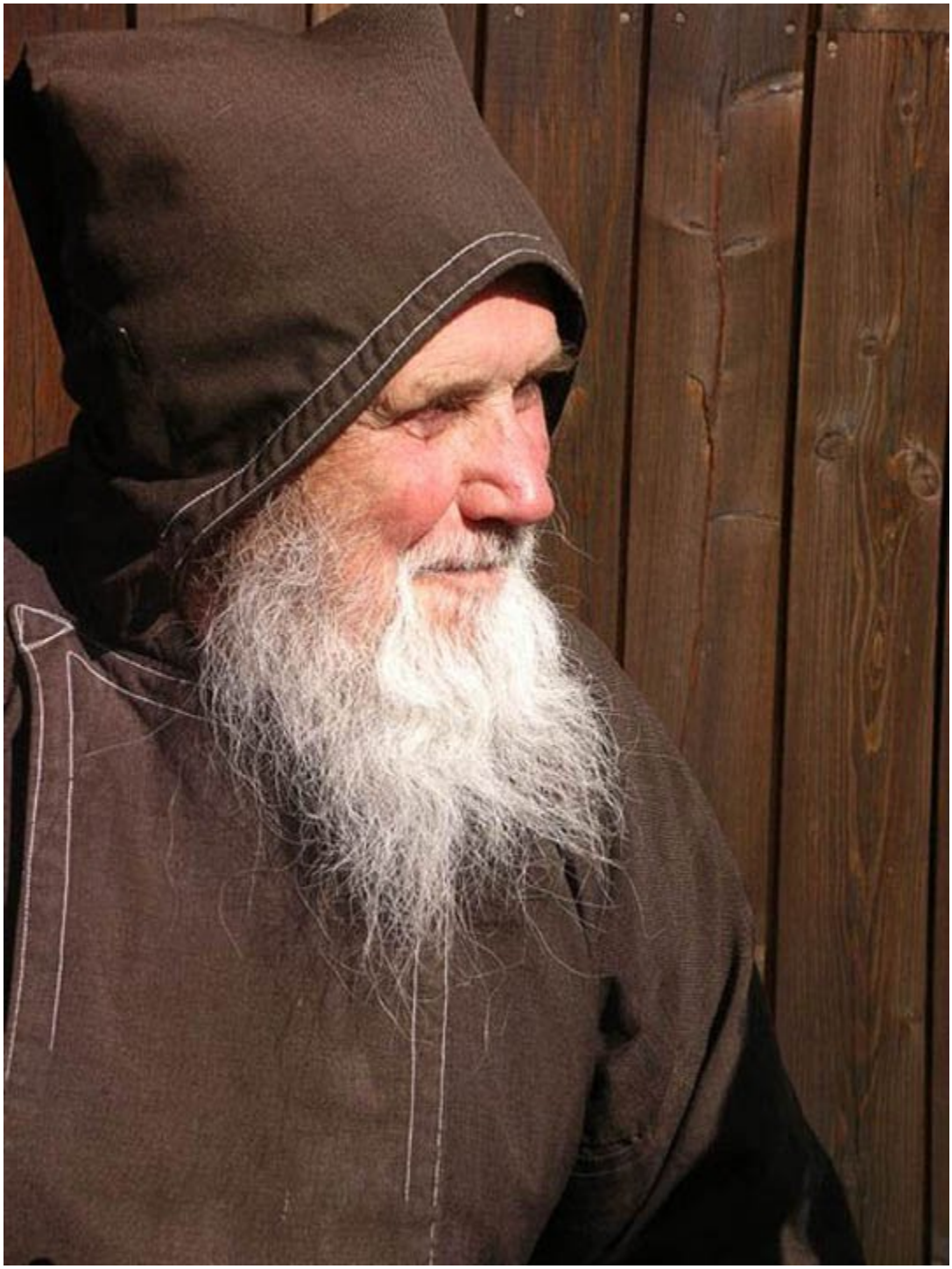


Prezydent RP Ignacy Mościcki w towarzystwie ordynata Alfreda Potockiego i świty zwiedza park pałacowy, 1929 r., fot. 1-A-1578-11 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

– *Pan Hrabia to był swój chłop – kończy swoje wspomnienia stary lokaj. – Gorsza była matka, bo wie pani, to Niemka. A on to i na wesele do nas przyszedł i na chrzciny. I zadbał o ludzi, jak było potrzeba.*

Alfred Potocki nigdy już do Polski nie przyjechał. I tak zakończyła się służba u ostatniego ordynata w Galicji, pana na Łańcucie.

Nie wstydźmy się być wśród ludzi...



Ojciec Stanisław

Romuald Mieczkowski

Dokładnie nie pamiętam, kiedy poznałem o. Stanisława – Stanislovasa (Algirdas Mykolas Dobrovolskis). Słyszałem o nim

wiele pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy zaczęto coraz głośniej mówić o niepodległości Litwy. Spotkałem go w Datnowie na początku lat dziewięćdziesiątych. Charyzmatyczny mnich odnawiał wtedy tu swój klasztor, ale do końca życia pozostał jego nielicznym przedstawicielem – na Litwie jest około dziesięciu kapucynów, głównie w Petraszunach… Dom Generalny Zakonu mieści się w Krakowie.

Zaskoczyła mnie podczas pierwszego spotkania w Datnowie bogata biblioteka, znajdująca się w pokoju pośród ruin pomieszczenia, które odbudowywał. Rozmowę ciągle ktoś nam przerywał. Co rusz, pozostawałem sam. Przeglądałem więc bogate, ale też dość przypadkowe zbiory książek. Kiedy wreszcie mogliśmy porozmawiać, zastał mnie z XVIII-wieczną księgą:

– Interesuje to Pana? To proszę sobie wziąć, kiedyś pan mi ją odda, przy okazji. Mnie to już niepotrzebne, ale może będzie potrzebne dla innych. A zresztą proszę to zabrać na zawsze, widzę – zrobi pan z niej użytek.

Nie chciałem księgi, więc przez pewien czas starał się namówić mnie do jej wzięcia.

A potem opowiadał o swoim życiu podczas katorgi sowieckiej – w kopalniach węgla w Incie i Workucie. Robił to zupełnie inaczej niż słyszałem podobne opowieści z ust innych zesłańców – mówił

bez śladu męczeństwa, bez wskazywania na winnych, bez wołania o pomstę, ciągle żartując. Żałował swych oprawców, mówił, że za ich dusze każdego dnia się modli. W końcu zanucił pieśń rosyjską o słowikach.

– *I pojut wsiu nocz' sołow'ji*… Nie zaśpiewa Pan ze mną razem? Wy, młodzi tego nie znacie! A śpiewanie pieśni bardzo pomaga. Śpiewałem to w łagrach, a i teraz to pomaga.

Potem niejednokrotnie słyszałem, jak śpiewa o. Stanisław. Również inne pieśni, uwielbiał rosyjskie. Najbardziej lubił *Wieczernij zwon,* który ciągnął zazwyczaj o zapadającym zmroku. Głos miał nie za mocny, ciepły i nastrojowy.

Po tej pieśni najczęściej szedł spać, o 20. O północy wstawał, szedł do kościoła, gdzie odmawiał brewiarz… Wstawał zawsze o 4 rano…

Na Daleką Północ, za Koło Podbiegunowe trafił w 1948 roku. Jako „wróg ustroju socjalistycznego" dostał dziesięć lat. Zwolniony w 1956, krótko cieszył się wolnością. Został wywieziony ponownie, by dokończyć wyroku, polegającego na morderczej pracy w tychże kopalniach. Po powrocie w 1957 pracował w różnych parafiach, chętnie podróżował po Żmudzi z posługą duszpasterską, pomagając innym księżom, przyjaźnie wszędzie witany z racji swego subtelnego usposobienia. Nie było

łatwo – bywał przesłuchiwany, ciągle zastraszany.

O. Stanisław rozmawiał ze mną po polsku. Urodzony w Radwiliszkach, w rodzinie – jak powiadał – spolszczonej, z językiem polskim zetknął się już we wczesnym dzieciństwie. Ciągle obecny był on w ich domu. Matka pochodziła z Datnowa, zmarła, gdy miał półtora roku. Ojciec pochodził z Kiejdan, obydwoje – z zubożałej szlachty. Rodzice, a potem i macocha – „na 95 procent" uważali się za Polaków, jak określił po latach. Po polsku rozmawiano przy posiłkach. Za używanie litewskiego nawet karcono dzieci. W szkole doznał olśnienia, przełomu w swej świadomości: jest przecież Litwinem! Od czwartej klasy zaczął mówić po litewsku. A potem doszło do harmonii lingwistycznej – mówił z przyjemnością po polsku, lubił… rosyjski, znał języki zachodnie.

– Znajomość języków otwiera przed tobą świat. Pomaga jak śpiewanie. I patrzenie też pomaga, patrzenie w dal. To leczy. Leczy duszę też patrzenie na piękne zakątki przyrody – mówił przy ostatnim naszym spotkaniu.

Kiedy zapytałem kiedyś, w jaki sposób ojciec uzdrawia licznie tu przybywających, o czym krąży fama po całej Litwie, kapucyn się zaśmiał:

– A czy ja kogoś uzdrawiam? Ja nigdy nie pytam, kim są

przybywający, jeśli sami nie chcą o tym powiedzieć. Ja nie daję im żadnych recept, nie pouczam. Piłeś – to jak chcesz, pij dalej! Możesz jednak spróbować tego nie robić, przekonać się, czy tak nie będzie lepiej. Jeśli chcesz – zostań tu, bez żadnych zobowiązań. Bądź cierpliwy i popatrz na zieleń drzew, błękit nieba, posłuchaj, jak cudnie śpiewają ptaki, popatrz na świat stworzony przez Boga. Jeśli chcesz, pomóż mi przy prowadzeniu gospodarstwa, przygotuj choćby drwa, pomóż przy remoncie kościoła. Łóżko zawsze się znajdzie, strawa też...

Potem się dowiadywał, że byli u niego niepospolici ludzie – znani artyści ze swoimi problemami, dziennikarze i pisarze, mężowie stanu z telewizji i z pierwszych stron gazet, jak też najpospolitsi alkoholicy i narkomani, łobuzy, złodzieje i naciągacze. I wielu z nich rzeczywiście wyleczyło się ze swych nałogów i ułomności, przebywając u o. Stanisława! Jak chociażby jeden Amerykanin: kiedy tu został, siadał z początku na ganeczku i pociągał sobie milczkiem whisky, a potem raptem przestał.

– Czy to klimat sprawił? – zastanawiał się zakonnik.

Na dobre to wszystkim wyszło: Amerykanin nie należał do biednych, a po rzuceniu picia stał się podobno milionerem, więc przysyłał z wdzięczności pieniądze. Przydały się przy odbudowie kościoła, w pomocy najbiedniejszym, w prowadzeniu pracy społecznej, która tutaj się rozwinęła, głównie z dziećmi z

pobliskich okolic.

Czy pomógł? Pomóc mógł tylko Pan Bóg…

Po pobycie u o. Stanisława ludzi poszukujących pomocy, pozostały konkretne ślady. Miejscowość była czysta i zadbana – schludne ogrodzenia, piękny most na rzeczce, przebywający pozostawili po sobie pięknie rzeźbione drewniane krzyże i kapliczki…

Żaden człowiek nie jest sędzią dla drugiego człowieka – mawiał, podkreślając, iż wszyscy bywamy ułomni i słabi. Ubolewał, że wydajemy pochopne sądy o innych, że szczególnie politycy często bywają sędziami innych, grzeszą pychą. Ludziom trzeba wierzyć – uważał, dlatego nie używał kłódek, niczego nie zamykał na klucz. I o dziwo, niczego mu tak naprawdę nie ukradziono. Jednego razu narkoman wyniósł kielich kościelny, ale potem go zwrócił…

Kiedy z nim rozmawiałem, moje niepokoje koił jego spokojny głos. Parę razy miałem zamiar wszystko rzucić i pojechać, pośród nocy, do o. Stanisława. Zanocować na żelaznym łóżku, przypominającym dawne czasy, w pokoiku obok, zimą patrzeć na ogień w piecu, a latem leczyć wzrok wschodem słońca i jego zachodem za daleki, widoczny w promieniu 60 kilometrów w tych stronach horyzont. Pomagać mu w czymkolwiek, co potrafię, a

jednocześnie prowadzić rozmowy z zakonnikiem. Ale sprawy bardzo przyziemne, obowiązki których stajemy się jakże często zakładnikami, nie pozwoliły mi na to, czego dzisiaj żałuję. Ale byłem tu wielokrotnie, przy różnych okazjach i z bardzo różnymi ludźmi.



W 2000 roku, jeszcze w Datnowie, w którym przebywał około dziesięciu lat, zawitaliśmy do o. Stanisława całym autokarem, podczas VII Międzynarodowych Spotkań Poetyckich „Maj nad Wilią”, które przebiegały pod hasłem „U schyłku Wieku, u progu Tysiąclecia”. Wtedy to ten skromny człowiek, kapłan o niezwykłej mądrości, w sposób prosty wyjaśnił poetom istotę tolerancji, ekumeniczność misji literackiej w dobie licznych zagrożeń, jakie

niesie transformacja ustrojowa i kulturowa. Z jakim zapałem opowiadał o swej parafii, położonej przecież w niezwykłym miejscu – w dolinie Niewiaży, miłoszowskiej Issy! W czasach sowieckich wiara mogła pozostawać silna, zaś w warunkach demokracji znacznie się zachwiać. Człowiek nie musi zapominać o Dekalogu, tylko się nim ma kierować – przekonywał wtedy.

Pamiętne było spotkanie w czerwcu 2003 roku. W ramach międzynarodowej konferencji, którą zorganizował Vytautas Toleikis, prezes Fundacji Oświecenia Litwy, a poświęconej problemom mniejszości narodowych w krajach, należących do dawnego Imperium Sowieckiego, zawitaliśmy do Kiejdan, a stamtąd do o. Stanisława, który na własną prośbę powrócił do swej parafii w Paberže. Jak zwykle, przyjął gości bardzo serdecznie i z humorem. Mówił o wielkiej witalności miejscowych ludzi, stwierdził, że przeżyli oni różne władze i ustroje, więc przeżyją „i Unię Europejską", o której to wówczas tak wiele mówiono. Wstrzemięźliwy wobec wydawania sądów w tym zakresie, wierzył, że ci ludzie godnie się odnajdą w nowej sytuacji społecznej i ekonomicznej, zachowają wiarę i swe tradycje, instytucję rodziny.

– Litwa istnieje nie od wczoraj, nie od czasu działania chrześcijańskich demokratów czy innych partii – stwierdził.

W pewnym momencie, a mówił po litewsku i na przemian po

rosyjsku, uważnie patrząc na zebranych, przeszedł raptem na język polski. Wyjaśnił zebranym, że w ten sposób chciał powitać, „Polaka, którego dobrze zna", czyli mnie.

Podczas tego pobytu byliśmy świadkami, jak się modlił. Stał w pełnym ciszy zmroku w swym wiejskim kościółku. W pewnym momencie słońce oświetliło jego postać, od siwizny długiej brody stał się przejrzyście jasny – wyglądał na proroka…. Chciałem mu zrobić zdjęcie, byłoby unikalne, ale zabrakło mi odwagi, żeby mu przeszkodzić.

W Paberže i okolicach o. Stanisław niósł posługę kapłańską około 40 lat, od roku 1966. W kościele Nawiedzenia Matki Boskiej. Jest to kościół drewniany, odbudowany po spaleniu się poprzedniego w roku 1899. Tamten kościół pamiętał uczestników Powstania Styczniowego, które w tych stronach było wielkim zrywem patriotycznym. Do klasztoru wstąpił w 1936 roku w Płungianach, gdzie odbył nowicjat. Potem, przeniesiony do Klasztoru Kapucynów w Szawlach, oddawał się studiom z zakresu filozofii i nauk humanistycznych. W 1944 skończył studia w Seminarium Duchownym w Kownie i został wyświęcony na księdza. Pracował w wielu parafiach na Żmudzi, po powrocie z łagru wędrował – z parafii do parafii. W Paberže dostała się mu jedna z najuboższych na całej Litwie – możliwe dlatego, żeby nie rozwinął tu żadnej „działalności antysowieckiej".

– Nigdy nie działałem politycznie. W czasach sowieckich mówiłem, żeby ludzie kochali swoje ojczyste strony, sumiennie pracowali, byli dobrzy jeden dla drugiego. Zapewne źle zostałem zrozumiany przez tych, którzy dokonywali wywózek – mawiał.

Była tu bieda, ale wiara pozwoliła czynić cuda. Wierzący przyjeżdżali z dość odległych okolic, by posłuchać o. Stanisława. Komuniści tu brali śluby, chrzcili swoje dzieci. A kiedy powiały wiatry wolności, nie mógł nadążyć z chrzcinami, bo musiał dokonywać tysiące chrztów, również dorosłych, którzy w tamtych czasach odeszli od wiary. Zdarzało się, że niektórzy okoliczni księża nie byli zadowoleni z tego, zazdrościli mu takiej popularności.

Dziś Paberže liczy cztery chaty. Zostali tu tylko staruszkowie.

– To są święci ludzie – mówił. – Proszę spojrzeć, ile pracują! Sami nic nie mają, a nigdy nie narzekają. Ich życie jest proste i prawe. A miejscowa katechetka, która cały swój czas poświęca dzieciom! Ile takich ludzi na Litwie, w Polsce i na świecie!

Ostatni raz go widziałem 1 czerwca 2004 roku. Wybraliśmy się wtedy, jak to i wcześniej bywało, w polsko-litewskim składzie, by porozmawiać o tym, co w życiu ważne.

– Powiem szczerze: kiedy byłem młody, wydawało się, że tylko

kobiety bywają piękne. Potem zaczynałem zauważać coraz więcej pięknych rzeczy. Najważniejsze, żeby piękne było dobrym, bo tylko wtedy przeciwstawia się złu. Człowiek bywa jak dziecko – szybciej uczy się złego, nierzadko atrakcyjne przyjmując szaty – i wielką sztuką jest znaleźć w sobie siły, by żyć inaczej. Czy każdy je ma, jak je wydobyć z siebie? – zastanawiamy się.

– Czy jest piekło? – pada pytanie.

O. Stanisław przez chwilę milczy. A potem mówi.

– Piekło to absolutna samotność. Nic straszniejszego już być nie może. Dlatego nie wstydźmy się jak najwięcej być pośród ludzi, cieszyć ze szczęścia, którego czasami nie zauważamy, wobec którego bywamy obojętni lub małostkowi. Wtedy przyjdzie radość. A radość to harmonia. Radość nie bywa samotna, powstaje w dobrych związkach między ludźmi. Człowiek żyje po to, by czynić dobro, doskonalić się w imię szczęścia. Żeby przez siebie udoskonalać świat.

O. Stanisław miał wiele pasji. Największa z nich to poezja Rainera Marii Rilkego. Jest wielkim znawcą jego twórczości. Przekładał jego wiersze za Sowietów, chętnie czytał dla swych gości jego utwory, które – uważa – są „brewiarzem dla inteligenta”.

Pięknie jest mieć własne modlitwy – uważał. A raz mi powiedział:

– Poetom to dobrze, mogą sami stworzyć sobie modlitwę. To wielkie szczęście stosować taką modlitwę. Powinna się ona powtarzać, jak mantra, by się skoncentrować na jednym punkcie. Mantra jest też najlepsza na smutek. Dobrze się modlić strzeliście i szczerze.

W ciągu lat kapucyn zgromadził wielki zbiór ornatów, wyrobów liturgicznych. Ponadto czego tylko nie posiadał – znalazły się tu krzyże, fragmenty ogrodzeń, latarnie, stare narzędzia pracy. Zanoszono i zwożono mu setki, jeśli nie tysiące dzwoneczków – ceramicznych, mosiężnych, żelaznych. Tak samo kluczy do zamków, które już nie istnieją, a więc są w gruncie rzeczy bezużyteczne. Gdy ktoś mówił, że to piękne muzeum regionalne, prostował:

– To nie jest muzeum, to schronisko starych rzeczy, które – dzięki innym ludziom – mnie odnalazły. „Przyjdzie do ciebie rzecz ukochana jak narzeczona” – cytuje Rilkego o. Stanisław.



Ojciec Stanisław z dziećmi.

Zachwycali się zbiorami przybyli, którzy z całej Litwy odbywali tu swoiste pielgrzymki. Najbardziej cieszyły one dzieci, które stale tu były obecne, całymi grupami! Kapucyn miał możliwości przenocowania i usadowienia przy stołach „na trzydzieści talerzy”…

– Co dziecko może zapamiętać po pobycie tutaj? Wiary uczy się stopniowo i umacnia ją całe życie, natomiast tu przynajmniej zwróci uwagę na dzwoneczki i klucze… A od tego i rozmowę można zacząć!

Był znany – pisano o nim w książkach, kręcono filmy, ale nie przywiązywał do tego wagi, pozostawał skromny. W tym roku, pod koniec maja, byliśmy z poetami z różnych krajów w Datnowie, Kiejdanach i Szetejniach. Bardzo chciałem zajechać do

kapucyna, ale zrezygnowałem z tego pomysłu – wiedziałem, że czuje się nie najlepiej. 23 czerwca 2005 roku, o. Stanisław OFM Cap. zmarł.

Nowy Rok 2018



Wspaniałego, twórczego, radosnego i pełnego zdrowia Nowego Roku 2018 czytelnikom magazynu Culture Avenue

życzy redakcja.

Przerwa noworoczna trwać będzie do 5 stycznia.

Magazyn ukazuje się codziennie od poniedziałku do piątku z wyjątkiem świąt i ustawowych wolnych dni w Polsce.

Planowane w nowym roku serie:

1. W pierwszy poniedziałek miesiąca – niezwykła opowieść o życiu, trudnych wyborach, twórczości, podróżach do Afryki i Azji w latach 50-tych, kulturach ludów „prymitywnych” i spotkaniach z wybitnymi ludźmi minionego wieku, czyli wspomnienia reżysera z Kanady, Tadeusza Jaworskiego, zmarłego w 2017 roku.

2. Wtorki – wspomnienia, opowieści, tłumaczenia i poezje prof. Floriana Śmieji z Kanady, nestora poetów emigracyjnych,

współzałożyciela, powstałej po II wojnie światowej słynnej londyńskiej grupy poetyckiej „Kontynenty”, profesora iberystyki, wieloletniego wykładowcy na uniwersytetach w Londynie i London (Ontario), doktora honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu, odznaczonego Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej przez króla Hiszpanii Filipa VI.

3. Środy – wystawy prac emigracyjnych artystów.

W pierwszą środę miesiąca – felieton Katarzyny Szrodt z Montrealu, która obroniła doktorat na Uniwersytecie Warszawskim z twórczości polskich artystów w Kanadzie, a teraz zajmuje się promocją polskiej sztuki w kanadyjskim środowisku artystycznym.

4. Drugi czwartek miesiąca – wspomnienia wybitnego polskiego iberysty Zygmunta Wojskiego z podróży do Hiszpanii, Portugalii i krajów Ameryki Łacińskiej. Autor przez szereg lat wykładał w Madrycie, Wenezueli i na Kubie, prowadził badania lingwistyczne w wielu krajach latynoamerykańskich i dzieli się z czytelnikami Culture Avenue swoimi kulturowymi obserwacjami.

5. Piątki – wywiady.

Na Culture Avenue pojawią się też artykuły na temat niezwykłej wystawy poświęconej artystom, którzy przeszli szlak bojowy z generałem Władysławem Andersem, przygotowanej przez prof. Jana Wiktora Sienkiewicza z Uniwersytetu w Toruniu, artykuły autorów z Australii, Republiki Południowej Afryki, Francji, Wielkiej Brytanii, Norwegii, Litwy, Kanady i Stanów Zjednoczonych, pokazujące sylwetki niezwykłych, twórczych Polaków, mieszkających w różnych stronach świata. Przygotowywana jest rozmowa z wybitnym filmoznawcą na temat obecnego filmu polskiego i odbioru polskiego kina w innych krajach. Będą też artykuły z historii kultury i obyczajów, pojawi się seria – rody polskie.

Zapraszamy do odwiedzania magazynu Culture Avenue w Nowym Roku 2018.